

NOWE

POWIASTKI.



V
B
J
C

PANI

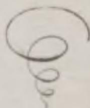


NOWE POWIASTKI

DLA

GRZECZNYCH DZIECI

Z OBRAZKAMI.



Kraków.
Nakładem i drukiem J. Bensdorffa.
1867.


Biblioteka Jagiellońska
1002838553


BIBLIOTHECA
UNIV JAGIELL
CRACOVIENSIS


BIBLIOTHECA JAGELLONICA

I.

Mikołajek i pies jego Cezar.

Tuż pod lasem, mieszkał ubogi Kazimierz, drwalnik, który ciężko pracował na utrzymanie swych siedmiu synów, z których Mikołajek był najmłodszy. Nie miały matki te dzieci już od dawna, bo ona umarła; ojciec więc sam pracując przez cały dzień, nie mógł dać dobrego wychowania synom swoim; musiał bowiem ścinać drzewo, i wiązkami takowe wozić do miasta na sprzedaż.

Synowie jego wzrastali w siły ciała, ale nie mieli wyobrażenia o naukach, a co gorsza o Bogu, o Jego wszechmocy, dobroci i sprawiedliwości, o życiu wiecznem, bo ojciec wielki grzech popełnił w tem, że z nimi o tych przedmiotach nigdy nie mówił, nigdy ich nie uczył co to jest Bóg, co jest Wiara święta. A jednakże sam był wychowany od matki w zasadach moralności i religii, którą w późniejszym wieku całkiem zaniedbał.

Kiedy jednakże przyszła choroba na Kazimierza, wtenczas sumienie mu przedstawiło grzechy jego, wszelkie nieprawości, zapomnienie obo-

wiązków swoich. Poprawił się on, kiedy przyszedł do zdrowia. Zaczął dawać nauki synom swoim, rozmawiając z nimi, ale to już było zapóźno; zepsute te chłopcy już sobie drwili z tego wszystkiego, co tylko jest święte. Jeden tylko Mikołajek najmłodszy, słuchał nauki i rady ojca swojego, i był jego ostatnią i jedyną pociechą. On mu w pracy pomagał, on z nim razem się modlił i miał o nim staranie w czasie jego ciężkiej i długiej choroby. Ale bracia nienawidzili Mikołajka. Jednego razu, kiedy ojciec został sam jeden z Mikołajkiem, który bawił się ze swoim psem Cezarem:

„Synu! mówił ten biedny ojciec do Mikołajka, przestań się bawić z tym poczciwym psem, a posłuchaj co ci powiem: Oto ja czuję, że już niedługo żyć będę na tej ziemi... stanąć muszę przed sądem Bożym, i zdać rachunek z tego, że nie byłem dobrym synem; uciekłem z domu matki, i już jej nigdy nie widziałem, bo los, czy też kara Boża, zaniosła mnie w odległe kraje; a już później za przybyciem do kraju, nie mogłem się dowiedzieć, gdzie oddaliła się, lub gdzie przebywa matka moja, która być może że żyje jeszcze, a może też Pan Bóg da, że ty ją kiedyś odszukasz.“

„To może ją jeszcze zobaczysz ojcze!“

„O! nie, ja czuję że koniec mego życia jest niedaleki, ale ty, coś jest młody i zdrów, jeżelibyś z nią kiedy się poznał, o! to powiedz jej, że ja twój ojciec a jej syn, do zgonu trapiony jestem zgryzotą sumienia za to, żem był złym synem, i że źle wychowałem braci twoich, żem ich zaniedbał, i oto wyrodzili się z nich bezbożniki!“

„Mój ojcze, sądzę, że oni się poprawią w błędach swoich, ale modlić się trzeba, ażeby Pan Bóg przemienił ich serca.“

„Dobrze, moje dziecko, módlmy się za nich.“

Ukląkł więc ojciec z synem, i modlili się gorąco, za te młode dusze zaślepione.

Niedługo po tej rozmowie, ubogi Kazimierz umarł, a synowie pochowali go w lesie bez żalu wielkiego; jeden tylko Mikołajek, szczerze opłakiwał zgon ojca swojego.

Złe te chłopcy w kilka dni po pogrzebie ojca, upolowali jelenia w lasach rządowych, i nakupiwszy w mieście trunków, sprawili sobie ucztę z tego jelenia; ale nie chciał z nimi jeść pieczonego jelenia Mikołajek, czyniąc im jeszcze tę uwagę, że

w cudzych lasach polować nie wolno, więc żeby tego nie czynili, albowiem mógłby ich kto donieść, i mieliby potem proces o naruszenie cudzej własności.

Na te słowa, bracia popatrzyli po sobie, potem poszedłszy do lasu, naradzili się z sobą, jakby się pozbyć Mikołajka, który na nic im się, jak mówili, nie przyda, kiedy nie chce trzymać z nimi. Ale jak się go pozbyć?

„Oto ja wam powiem, rzecze najstarszy. Zaprowadźmy go o trzy dni drogi w gęsty las, i zostawmy go jak będzie spał. On nas nie znajdzie, a do domu też nie trafi, więc

nie potrzebujemy obawiać się, ażeby nas oskarżył.“

Tak się stało — nazajutrz obudzili Mikołajka, ubrali go i wsadzili na osła, a sami szli piechotą coraz w gęstszy las. Powiedzieli bratu, że chcą miejsce odmienić i przenieść się do miasta. Cezara uwiązali w izbie na grubym postronku; a kiedy Mikołajek dopytywał się o tego swojego przyjaciela, mówili, że Cezar tam już w mieście na nich czeka.

Podróż tych niegodziwców i Mikołajka, trwała istotnie przez trzy dni, przez gęstwinę drzew i krzaków, przez rzeki i kamienie, coraz dalej, coraz dziksza była okolica tych gę-

stych zarośli. Wieczorem, znużony dalekim pochodem Mikołajek, po wieczerzy począł się modlić gorąco:

„Panie! mówił, ja nie mam ani ojca, ani matki! nie wiem co uczynią ze mną bracia moi, nie mam człowieka na ziemi, któryby się ujął za mną. Boże dobrotliwy, Ty mnie ratuj dla zasług Syna Twojego Jezusa Chrystusa.“

I usnął spokojnie. Młodzi złoczyńcy przede dniem jeszcze opuścili biednego Mikołajka, który spał smacznie, nie przewidując okrutnej zdrady niegodziwych braci swoich.

Kiedy się przebudził, ujrzał się samotnym. Począł gorzko płakać.

Strach go przejął. Nadaremnie krzyczał ile mógł; tylko echo odpowiadało na głos jego. Modlił się znowu, a kiedy wstał, czuł się silniejszym na sercu; szedł więc w las w tę stronę, zkąd zdawało mu się, że przybył z niegodziwymi braćmi swymi; ale omylił się — trafił na krzyżową drogę, gdzie nie było żadnego śladu, ani braci jego, ani osła, na którym tu przybył. Posilił się około południa kawałkiem chleba, i mięsa jeleniego, który przy nim pozostawili bracia jego. Orzeźwił się świeżą wodą tuż płynącego strumyka. Ale zbliżał się wieczór — Mikołajek szedł a szedł coraz dalej, a sam

nie wiedział gdzie; aż nad samym wieczorem, obawiając się wilków, Mikołajek wdrapał się na drzewo, ale cóż, jakże tu spać, a nie spaśdź z drzewa? Ale oddając się opiece Opatrzności Boskiej, zaledwie skończył modlitwę wieczorną, którą on zawsze odbywał w Imię Pana naszego Zbawiciela, kiedy spostrzegł światło między drzewami migające się na prost drzewa, na którym miał przenocować. Zlazł więc z drzewa, i spiesznie dążył w kierunku tego światła, które raz się pokazywało, to znowu znikało; i tak doszedł aż do płynącego strumienia, nad którego brzegiem stanął, upatrując, gdzieby

go mógł łatwiej przebyć. Wtym słyszy szelest pomiędzy krzakami zbliżający się wprost ku niemu. Myślał sobie przestraszony: „Czy nie wilk?“ Aż tu wpada na niego z radosnem uniesieniem poczciwy jego przyjaciel i towarzysz, ogromny pies Cezar, z długim postronkiem u szyi; widać, że się odgryzł. Cóż to było za powitanie radosne, pożądane! A wtem daje się słyszeć zbliżające się wycie wilka. Cezar nadstawia uszy — włos na karku mu się zjeżył — wyszczerzył straszne swoje zęby, i wprost wpadł na wilka. Walka nie długo trwała — Cezar zwyciężył. Wilk strasznie wyjąc, ratował się ucieczką



z pokąsaną mordą. Jakże wdzięczny był Cezarowi za uratowanie życia, jakże go ściskał i pieścił! a Cezar wiedząc, co uczynił dobrego, lizał po twarzy Mikołajka, wywijając ogromną kitą swego ogona.

Kiedy dwaj przyjaciele weszli na pagórek, już słońce zaszło, i dobrze się zmierzchało, ale tu już było nie tak ciemno, jak w lesie, bo tu już tylko były krzaki; a co za radość, kiedy biedny, strapiony a teraz pocieszony Mikołajek, widzi tuż może o dwieście kroków ogród, a w nim bardzo czysto obielony domek, z którego okien świeciło to światło, które aż tu doprowadziło Mikołajka z Ce-

zarem. Wkrótce też obadwa przyjaciele stanęli przy furtce.

Kiedy zapukał do drzwi biedny Mikołajek, odezwał się ktoś:

„Ktotam?“

„Ja, jestem biedny chłopiec, który zabłąkał się w lesie, i wilk mnie napadł, ale mój pies obronił mnie.“

„Wejdź, wejdź przyjacielu razem z obrońcą twoim psem.“

Była to staruszka już wiekiem zgarbiona, która otworzyła drzwi przybyłym gościom, bo i Cezar prezentował się, grzecznie łasząc się i wywijając ogonem na znak radości.

Staruszka zamknęła drzwi na klucz, potem wpatrywała się w Mikołajka.

„No, mówiła, trzeba cię kochanku wprzód posilić, bo musisz być głodny, a potem opowiesz mi zdarzenia twoje; a i ten obrońca twój, jakiż on duży, jaki piękny, i on musi być głodny?“

„O! pani! odrzekł Mikołajek, kiedy pani taka dobra, to muszę powiedzieć, że ja jadłem w południe kawałek mięsa i chleba, ale ten biedny mój Cezar, może już od trzech dni nic nie jadł, bo on się urwał i mnie szukał po lesie, a jak długo któż wie?“

Kiedy Mikołajek się posilał i dzielił swoją wieczerze z Cezarem, który nie jadł, ale połykał tylko, bo

istotnie był wygłodniały, bo mu aż boki zapadły — staruszka czuła coś pociągającego do tego biednego chłopca, i z coraz większem upodobaniem wpatrywała się w niego. Po wieczerzy Mikołajek ukląkł, złożył ręce, i tak się modlił:

„Panie! Ojcze nasz! przebacz mi ten grzech, żem przed jedzeniem zapomniał z głodu o modlitwie; dziękuję Ci Panie! za dobrodziejstwa Twoje, i błagam Cię o zdrowie i pomyślność tej pani, która tak łaskawie mnie w dom swój przyjęła!“

Staruszka uściskała chłopczynę, i tak do niego mówiła:

„Jakże cię kocham za to, że jesteś nabożnym; Pan Bóg który cię uratował, będzie Cię zawsze błogosławił, jak długo żyć będziesz, jeżeli go chwalić nie przestaniesz.“

„O! nigdy nie przestanę Go chwalić, bo tak mi nakazał mój umierający ojciec.“

„To więc nie masz ojca?“

„Ani ojca, ani matki; jestem sierota.“

„Tak? o! ty biedniątko! — no, ale teraz opowiedz mi, jak się tu dostałeś, i jak cię obronił od wilka ten duży twój Cezar; wiesz, on mógłby ci służyć za konia.“

„O! wieleż to razy ja na nim jeździłem...“

„A nie ukąsił Cię?“

„O! broń Boże! niechby kto chciał mnie dotknąć przy Cezarze, dałby mu!“

Tu Mikołajek opowiedział staruszce całą historyją życia swojego i tych trzech dni, jak go bracia w lesie opuścili; i o ojcu swoim, jak żałował przed śmiercią, że był złym synem i niedbałym ojcem; a mówiąc o Cezarze, jak go od wilka obronił, chciał go jeszcze uściskać, gdy spostrzegł, że on miał na karku głęboką ranę od wilka, z której jeszcze krew ciekła. Staruszka obmyła

ranę Cezara, i wysmarowała tłustością; potem zrobiła dla niego posłanie, a Cezar znużony, zaraz też zasnął.

„Jakże się nazywał twój ojciec?“

„Kazimierz Stępak, urodzony w Cieszynie.“

„Kazimierz Stępak!.. mój syn!... o! Boże! skryte są wyroki Twoje! to mi zsyłasz wnuka mojego do mojego domu, na pociechę mojej starości! o! dziecko kochane! ty mnie nie opuścisz do śmierci! nie prawdaż? ty będziesz podporą mojej starości!“

„O! Boże! babciu moja! o! tak, nie opuszczę cię, służyć ci będę, i kochać, i szanować do śmierci!

*

O! jak szczęśliwy jestem, żem cię znalazł, że ci powtórzyć mogę, jak pobożnie, z jaką skruchą umarł mój ojciec, jak błogosławił ciebie, i błagał Boga o przebaczenie, że ciebie matkę swoją tak zasmucił, porzucając dom twój, którego później szukał, ale jak mówił, za karę nie znalazł.“

„Wieczny odpoczynek jemu, racz Panie dać, i przebaczenie Panie wszechmocny!.. a ja byłam powodem jego błędów, bom go kochając za nadto, nigdy nie karała złych jego postępków, i za to nas Pan Bóg wspólnie ukarał.“

Tak mówiła staruszka, a potem uściskała jeszcze wnuczka swego.

„Mój Mikołajku! bądźże zawsze dobry i poczciwy, chwal Pana naszego, i dziękuj mu, że cię tu do mnie zaprowadził; będziesz pracował i musisz się uczyć; ja cię wiele dobrych rzeczy nauczę; mój folwarczek co go mam, po mojej śmierci będzie twoim, i żyć będziemy nie już samotnie jak ja żyłam dotąd, nie wiedząc komu dostanie się to, co mi Bóg dał, ale razem żyć będziemy!“

Potem oboje, babka i wnuczek uklękli, i modlili się dziękczynnie za tak wielkie szczęście.

Mikołajek wzrastał w cnocie i pobożności, pracując i doglądając go-

spodarstwa, ogrodnictwa, żniwiarzy i oraczów, i gospodarstwo też coraz to lepiej, coraz pomyślniej się rozwijało, i był dostatek: bydełko, drób, pasieka i liczna służba domowa.

Potem, kiedy przyszedł Mikołaj do lat dojrzałych, kiedy dużo zboża wyprzedał na targu w Cieszynie, kiedy pieniędzy było dostatek, Mikołaj obrał sobie towarzyszkę życia pobożną i cnotliwą, i ożenił się, a babka błogosławiła młodej parze, i jeszcze przez kilka lat tak żyła z niemi szczęśliwie, kochana, pielęgnowana i szanowana od swoich wnuków; a kiedy dożyła prawnucząt,

wtenczas już do każdej modlitwy zawsze dodawała te słowa:

„Panie, który w dobroci Twojej świętej tyle zesłałeś mi pociech cudem Twoim, kiedy smuciłam się, że jestem samotną, a który dałeś mi oglądać dziatki wnuków moich, to już godzina zgonu mego niech wybije, ażebym tam, przed Tronem Sprawiedliwości Twoje, w godniejszy sposób, w sposób czystych duchów mogła uwielbiać Chwałę Twoją Przenajświętszą.“

To też tak się stało. Jednego wieczora, a było to w dzień urodzin staruszki, zwołała do łoża swojego wnuki i prawnuki, ucałowała je i kła-

dąc rękę na głowie każdego, pobłogosławiła, i tak mówiła nieco osłabionym głosem:

„Dzieci moje kochane! ja czuję, że nie długo już będę z wami tu na ziemi, ale tylko do zobaczenia! tam przed tronem Boga — kochajcie się, tak jak mnie kochacie, ratujcie się, pomagajcie sobie, kochajcie bliźniego jak siebie, ale Boga kochajcie nad wszystko!“

Wtem babka usnęła. Oni na palcach odeszli, żeby jej snu nie przerywać. Na zajutrz babcia już nie żyła. Usnęła ona w Bogu snem sprawiedliwego.

Długo opłakiwała cała rodzina

zgon dobrej babci; ale taka była wola Boża. Kiedy tak pomyślnie dom Mikołaja wzrastał w dostatki, kiedy już i wioskę sąsiednią sobie kupił, kiedy wieśniacy pokochali serdecznie nowego swojego a tak dobrego pana, zdarzyło się że jednego wieczora przed zachodem słońca, kiedy cała rodzina używała przyjemnej chwili wieczornej na ganku przed domem, zbliżył się w łachmanach żebrak, mający około lat czterdziestu kilku, wynędzniały, zarosły, i pokłoniwszy się panu wsi, tak się odezwał:

„Panie! na miłość Boską cię błagam, udziel nam pomocy! jest nas

sześciu nędzarzy braci rodzonych... Popełnialiśmy kradzieże i czyniliśmy szkody długi czas w sąsiednich tu lasach rządowych; ale rząd nas wyśledził, chatę naszą spalił, nas uwięził, i tak przebyliśmy w więzieniu lat dwanaście. Wypuszczono nas; dziś żałujemy za złe postępowanie nasze, szukamy pracy i przytułku. Panie! ulituj się nad nami! weź nas do roboty, do służby twojej, będziemy pracować i Boga prosić o przebaczenie win naszych, a tobie Pan Bóg to stokrotnie nagrodzi.“

Mikołaj zbladł kiedy usłyszał o sześciu braciach.

„Jakże nazywał się wasz ojciec?“ zapytał żebraka.

„Kazimierz Stępak.“

Mikołaj zadrżał; przypomniał sobie braci swoich i ich straszną zbrodnią, której stał się ofiarą, ale udał że go to nic nie obeszło.

„Bartoszu, zawołał, ugotować wieczerzą na sześć osób, w stodole nasłać im wygodne posłanie ze świeżego siana, kołdry i poduszki niech dadzą ze dworu, a teraz przyjacielu, po wieczerzy idźcie na spoczynek, którego potrzebujecie, po utrudzającej podróży; jutro dam wam czego wam będzie potrzeba: czy bieli-

zny, czy odzieży, czy obuwia, a teraz: dobranoc!,,

Żebrak pokłonił się nisko dziedzicowi, a Mikołaj odszedł i udał się na spoczynek, ale smutek go ogarnął wielki, kiedy mu dano znać że stary, ślepy i głuchy pies Cezar zdycha. Przyszedł do niego zasmucony, i kiedy go pogłaskał, pies uczuwszy pana, jeszcze polizał jego rękę, bo go poczuł; i już wierny pies obrońca nie żył. Zapłakał nad nim Mikołaj, i kazał aby go jutro pochować w ogrodzie. Noc ta była dla Mikołaja bezsenną. Cały los swój widział przed oczyma swemi — widział, że pies wierny, który był

przyczyną szczęścia jego i babki jego, skończył życie wtenczas, kiedy niegodziwi bracia, jako żebracy, przyszli szukać przytułku w domu tego brata, którego zdradziecko wystawili na pożarcie wilków.

„Boże wielki! zawołał, jakże dobrotliwość Twoja czuwała nad nędzą młodocianego życia mego! Czemże jestem wstanie wywdzięczyć się Tobie Panie za tyle Twojej dobroci? Oto Panie! pokorą, wdzięcznością, uwielbianiem Twojej wszechmocy i sprawiedliwości, miłością i przebaczeniem! Przebacz im Panie! tak, jak ja im przebaczam!“

Na zajutrz, Mikołaj przywołał

wszystkich braci żebraków, i tak się zapytał:

„Czy mieliście wygodę?“

„Tak panie!“ odpowiedzieli bracia jego w łachmanach.

„Czy macie szczerą ochotę do pracy przy chwale Bożej?“

„Tak Panie! daj nam pracę, a przekonasz się.“

„Więc żałujecie, żeście prowadzili złe życie?“

„Tak, żałujemy serdecznie, i tak nam Boże dopomuż!“

„Czy nie mieliście jeszcze jednego siódmego brata?“

Żebracy zaniemieli, patrząc po

sobie, ale najstarszy brat tak powiedział:

„Prawda, jesteśmy zbrodniarze! mieliśmy najmłodszego brata Mikołajka, ale tego, jak niegdyś synowie Jakuba, poświęciliśmy zemście; zdradziecko opuściliśmy go w lesie, na pastwę wilków.“

„Chwalcież Boga, w którego Imieniu ja wam przebaczam; ja to jestem ten Mikołajek brat wasz, któregoście w lesie zostawili, a Opatrzność mnie uratowała, przez biednego psa Cezara, który obronił mnie od wilków. Skryte są drogi Opatrzności, uwielbiajcie Jej mądrość i dobrotliwość! a teraz bracia kochani, chcę

się podzielić z wami tem, co mam.“

Występni bracia uklękli i ucałowali ręce najmłodszego brata, wołając ze łzami:

„Bracie przebacz! przebacz!“

„Jużem wam przebaczył, powtarzam wam. Stodoła będzie waszym siedliskiem, dopóki nie zbuduję porządnego dworku dla was; otrzymacie dziś odzież przyzwoitą. Trzecią część ziemi, którą posiadam, wam oddaję; pracujcie i chwalcie Pana naszego, a przyjdzie pomyślność i dostatek przy Jego błogosławieństwie; to sobie tylko zastrzegam, żebyście razem ze mną żyjąc, razem też na chwałę Bożą do kościoła uczęszczali.“



„O! bracie! aniele dobroci! czem się tobie wywdzięczymy? czem zmażemy zbrodnią naszą, którą tak nieludzko popełniliśmy względem ciebie?“

„Życiem cnotliwem, i chałą Bożą; a teraz bracia uściskajmy się.“

Uściskali się, i odtąd bracia Mikołaja stali się wzorem poczciwości i bogobojności. Cóż dalej? oto oni pracą wspólną, doszli do dobrego bytu, do dostatków; pożenili się, żyli w zjednoczeniu rodzinnem, szanując i kochając Mikołaja w późne lata.

A cóż dziatki, czy nie prawda? że Bóg poczciwym błogosławi, i wybawia ich z niebezpieczeństwa?

II.

Kryś i Staś towarzysze szkolni.

Wybiła godzina 8ma, nauczyciel wszedł do szkoły, uczniowie już go oczekiwali; jedni byli w dobrym humorze, inni smutni, a wtenczas szczególniej, kiedy nauczyciel przejrzawszy zadania, takowe klasyfikował. Biada temu! którego zadanie zostało przekreślone na krzyż czerwonym atramentem! ten musiał przepisać zadanie trzy razy, albo siedzieć w areszcie.

Biedny Kryś, jemu się to najczęściej zdarzało, bo też ciężki był Kryś do nauki, źle czytał, źle pisał, na pamięć słabo się uczył, słowem, Kryś byłto nieuk pomiędzy towarzyszami swymi. Krysia więc dziś spotkał los smutny, że nauczyciel skreślił zadanie jego, kazawszy mu na czysto przepisać trzy razy. Wiedział nauczyciel, że Kryś jest leniwy, ospały, do nauk niechętny, chciał go więc na dobrą naprowadzić drogę, chciał żeby się poprawił; więc go wziął ostro, i dawał mu dużo zatrudnienia, wiedząc, że daleko lepiej będzie dla niego przepisywać, aniżeli tracić drogi czas na

próżniactwie, z takimi bezbożnymi towarzyszami, z jakimi wiedział że się wdaje Kryś. Kiedy więc on przyszedł do domu, ojciec kazał pokazać sobie sekstern z zadaniami i spostrzegł zaraz ów krzyż czerwony. Nic nie powiedział, tylko pokazał ręką do góry, Kryś wiedział dobrze co to znaczy; to znaczyło iść na górkę, dać się zamknąć, nic nie jeść do wieczora, i wyrobić nowe zadanie, któregoby nie przekreślił nauczyciel. Smutny Kryś poszedł więc do aresztu, wziął pióro, kałamarz, i poszyt szkolny; myślał, gryzł pióro, chciał coś napisać, ale darmo, nie miał wcale konceptu. Bije godzina

jedna, druga, trzecia i czwarta, a Kryś nic a nic dotąd nie napisał, nic nie skomponował.

„Otóż, myślał obie, jak mi się wiedzie, choćbym chciał, nic nie napiszę, bo nic nie idzie do głowy. Zamknęli mnie, któż mi pomoże?“

Wieczór się zbliżał, a Kryś jeszcze nic nie zrobił.

Nie wiedząc co począć, przystąpił do okna, zaczął słuchać, bo wyraźnie gdzieś słychać było śpiew nabożny, złożony z kilku dobranych głosów. Otworzył okno, i widzi naprzeciwko cztery osoby klęczące w pokoju pani Blizkiej sąsiadki, której syn Władzio razem z Krysiem do

szkoły chodził. Między temi osobami była i sama pani Blizka, która główny śpiew prowadziła; śpiew ten, był na cześć Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa.

„Mój Boże, kiedy też to ja, modliłem się do Chrystusa Pana? Prawda, że ile razy modlić się chciałem, zawsze mnie towarzysze moi wyśmiewali. Otóż zrywam z tymi złymi chłopcami, nie znam ich odtąd. Cóż bowiem jest przyjemniejsze, gdyby tylko dla samego ucha, czy ta tak miła harmonija śpiewu na cześć Pańską, czy ich szalone wrzaski, które żadnego nie mają sensu, i cechują ich tylko, jako istoty ubogie

na umyśle i na sercu? Cóż mi za korzyść może dać taka przyjaźń, która odbiera honor i sumienie?"

To powiedział Kryś z wielkiem zastanowieniem, potem ukląkł pokornie, wzniósł ku niebu złożone ręce, i zaczął się modlić gorąco do Pana Jezusa:

„O! Panie nasz! Zbawicielu! Nauczycielu nasz! Przybądź mi w pomoc, dodaj mi siły, ażebym na drodze nauki i Wiary świętej postępował ku Chwale Twojej; daj mi Panie wytrwałość w nauce, i cierpliwość, i tę stałosć duszy, jakiej potrzeba, żeby zerwać szkodliwe związki, żeby zerwać z tak zwanymi przyja-

ciołmi, którzy sprowadzili mnie z drogi cnoty, wiary i nauki.“

Patrzcież, co się stało! Oto zaledwie Kryś skończył modlitwę, już zaraz inny duch wstąpił w niego. Począł ufać w siły swoje, wziął pióro, zaczął pisać, wyrabiać zadanie szkolne, i to tak mu jakoś poszło szczęśliwie, że nazajutrz kiedy Kryś pokazał co napisał, nauczyciel zapytał:

„Kto ci to napisał, albo dopomógł?“

„Ja sam napisałem, a żaden człowiek mi nie pomagał.“

Po raz pierwszy na seksternie Krysia pokazał się podpis: „bardzo

dobrze.“ Kiedy przyszedł do domu, pokazał ojcu, który mu za to kupił zegarek, ażeby stósował się do godziny, i regularnie czynności swoje szkolne odbywał. Cóż to była za radość dla Krysia mieć zegarek, jakby jaki wielki Pan.

Od tego to czasu Kryś, który odmiennym zupełnie stał się chłopczykiem, został bowiem pilnym, posłusznym, pojętnym i pobożnym, bo przed nauką nigdy nieomieszkał pomodlić się do Pana Jezusa, a wszystkie zadania, wszystkie wypracowania tak mu szły jak z płatka; ale był w szkole jeszcze jeden uczeń bardzo opuszczający się w naukach, był to

Staś, dobry zresztą chłopczyk, ale niepilny, niedbały i w naukach, i w codziennym pacierzu. Obadwa lubili się z Krysiem. Kryś widział, że się Stasiowi tak powodzi, jak niedawno jemu się powodziło. Kochał Stasia, pragnął więc dać mu dobrą radę przyjacielską, ażeby i on użył tego samego środka, to jest modlitwy do uproszenia sobie silniejszych zdolności do nauk.

Jednego dnia, kiedy Staś nadzwyczajnie został upokorzony, bo sekstern jego tak został przekreślony, jak niegdyś zadanie Krysia; i kiedy Staś szedł pomiędzy swoimi współuczniami bardzo zasmucony, Kryś



zawołał na niego, a gdy się obejrzał, tak mówił do niego:

„Stasiu, siądźmy sobie pod tą tu lipą, to pomówimy z sobą parę słów mądrych; tamci niech sobie idą; oni mają pieniądze, to pójdą do przekupki kudować jabłka, ale ja ci mam co innego powiedzieć, posłuchaj tylko: Oto, kiedy ostatnią razą siedziałem u ojca w areszcie, przysłuchałem się, jak u matki Władzia, u pani Blizkiej śpiewano pieśni pobożne na cześć Chrystusa Pana. Cóżto był za śpiew! No, cóż powiesz? kiedy mnię taka chęć zebrała ażeby się modlić, że klęknąłem i modliłem się gorąco do Pana Jezusa.

Cóż powiesz? Kiedy skończyłem modlitwę, zaraz poczułem w sobie innega ducha do nauk, innych nabyłem zdolności, i zaraz napisałem zadanie, na którem nauczyciel podpisał: „bardzo dobrze.“

„Prawda, odrzekł Staś, ja zupełnie opuściłem się w modlitwie, odkąd mi mama umarła, ale teraz czuję to że źle robię, i będę się dziś jeszcze modlił.“

Na to odezwał się Kryś:

„Takich rzeczy się nie odkłada, chodź Stasiu, tam w tym ciemnym kląbie nikt nas nie zobaczy, będziemy się modlić, żeby nam Pan nasz dał dobrą wolę i rozum, tak jak

przez Ducha Świętego dał światło nauki Apostołom, którzy byli tylko prostaczkami, rybakami, a przecież oni to Wiarę świętą najwyższą naukę po całym świecie rozszerzyli.“

Poszedł Staś i modlili się długo z Krysiem pomiędzy drzewami. Otóż od tego dnia i Staś zaczął być wzorem w pilności i naukach, i tylko Kryś mógł z nim się równać tak, że profesor dziwił się niepomału, jakto może zajść taka zmiana, żeby uczeń opuszczony, leniwy, niepojętny, stał się zupełnie innym w tak krótkim czasie. Ha, bo tu moc wyższa działała, nie człowiek. Ale co jeszcze, kiedy inni chłopcy dokazy-

wali głupstwa, Kryś i Staś czytali sobie coś pożytecznego; kiedy tamci kłócili się a nawet poszturkali się, ci dwaj idąc ręka w rękę, nie raz się uściskali, dzieląc się jeden z drugim tem co miał. Tamci byli obojętnymi na nędzę lub cierpienie bliźniego, Kryś zaś i Staś wszystko gotowi byli poświęcić dla dobra bliźniego. Tak to modlitwa szczera odmienia całą naturę człowieka! — ze złego zrobi najlepszego, jeżeli modlitwa jest szczerą i serdeczną, bo tylko taka od Pana przyjęta bywa.

Jednego dnia cała klasa szła na przechadzkę do blizkiego lasu. Wiecie dobrze jak to wesoło jest kiedy

kilkudziesięciu uczniów razem idzie w pole. Co to za wesołość, radość, wrzawa! aż miło wspomnieć na to. Otóż cała klasa przechodziła po nad brzegiem rzeki, za którą stał dom pani Blizkiej, której mała córeczka Anusia, siostra rodzona Władzia bawiła się lalką nad rzeczką, a wtym lalka jej wpada do rzeki, Anusia chce ją pochwycić i sama pośliznąwszy się, wpada do owej rzeki dosyć głębokiej. Spostrzega to Kryś, obudza sie w nim miłość bliźniego; on czuje, że ratować drugiego to jest obowiązek. Zrzuca więc spiesznie płaszcz, rzuca kapelusz na bok, i buch w wodę, już płynie ku Anusi,

która co się pokaże, to zniknie, i już tylko ręce wyciągła do góry, jakby po raz ostatni; ale cóż: Kryś który doskonale pływał, już jest przy niej, już ją pochwycił, już na brzegu! Cuci on Anusię, ale ona nie daje znaku życia; on naciera jej skronie, ręce i nogi, aż też otworzyła oczy i powoli przychodzić zaczyna do przytomności. Wybiega i pani Blizka ze służącą, zabierają Anusię, i kładą ją do łóżka, gdzie ona wkrótce zasnęła; i tak to Pan Bóg odwrócił to wielkie nieszczęście, a do którego odwrócenia był narzędziem dobry Kryś. Pani Blizka dziękując, te wyrzekła słowa:



„Tyś był Aniołem Stróżem mojemu dziecięciu, niechże ci Bóg to nadgrodzi, i niech ciebie od wiecznej śmierci tak zachowa, jak ty wyratowałeś dziecko moje od śmierci doczesnej. Dziękujmy Panu za dobrodziejstwa Jego!“

A wiecie co dziatki? Ten to Kryś w kilkanaście lat później, ożenił się z Anusią, bo się pokochali, i żyją dziś szczęśliwie, a ich dziatki chodzą już do szkoły.

III.

Młody żeglarz.

Ksiądz Bettmann, powracał z Indyj do Anglii. Jeden z majtków William Gross dostał febry, a kiedy niebezpieczeństwo zamiast przeminąć wzrastało, żądać zaczął pomocy duchownej, co tak kapitan, jako i inni okrętowi ludzie, przyjęli bardzo obojętnie. Ksiądz Bettmann sam też uległ tej samej chorobie, więc nie mógł nieść duchownej pomocy bliź-

niemu swemu. Na okręcie był młodzian bardzo łagodnych obyczajów, i bardzo pobożny; nazywał się John Raikes; ten to szlachetny młodzian, i młoda tamże obecna Murzynka, pielęgnowali chorego Williama do ostatniej chwili, tak jak tylko matka własnego syna pielęgnować może; nie tylko bowiem, że Murzynka miała staranie o wszelkiej wygodzie, posiłku i czystości chorego, ale jeszcze jako Chrześcijanka, gorliwie zajmowała się stanem opłakanym duszy chorego. Że zaś sama nie umiała dobrze i donośnie czytać, uczynił to John, czytając codziennie choremu najstósowniejsze wyjątki z Pisma św.,

ale to wszystko było nadaremne, bo William zwątpił o sobie, zwątpił o dobroci Boga, wyznawał grzechy swoje, i twierdził z pewnością, że Pan Bóg mu jego grzechów nie przebaczy, że jego dusza jest zgubiona, że tylko wieczne cierpienie i zaguba duszy jest jego udziałem; na to John odpowiadał: że wyższa jest dobrotliwość Boża nad wszystkie grzechy nasze. Że skrucha i żal zmazują wszelkie grzechy przed Bogiem, że modląc się w Imie Pana naszego Jezusa Chrystusa, takowe zmazać możemy, ale wszystko nadaremnie. Umierający w nic nie wierzył, niczego nie oczekiwał, niczego się nie-

spodziewał, tylko wiecznego cierpienia piekła.

„O! Panie, tak modlił się John, ratuj duszę tego nieszczęśliwego, który na złej jest drodze, ratuj duszę, ratuj przyszłość jego.“

„O! Panie! ratuj duszę tego nieszczęśliwego,“ powtarzała Murzynka, aż też biedny William otworzył oczy, potem westchnął i rzekł:

„No, teraz Panie, dzięki Tobie, teraz czuję pokój duszy, teraz gotów jestem stanąć przed Majestatem Twoim. Panie! przyjmij ducha mojego!“

Te były ostatnie słowa Williama. Jego zgonowi przytomny był ksiądz

Bettmann, który chociaż chory wstał z łóżka, ażeby ostatnią oddać usługę bliźniemu swemu.

Nazajutrz ciało nieboszczyka spuszczono w wodę.

John tak się był przywiązał wczasie choroby do Williama, że trudno opisać żal, w jakim po jego zgonie był pogrążony.

„W trzy dni później doznaliśmy, mówi ksiądz Bettmann, strasznej burzy, która okrętem straszliwie miotała przez dwadzieścia godzin, i co chwila oczekiwaliśmy rozbicia okrętu.

„Wśród nocy uderzyliśmy o skałę, i okręt poniósł wielką szkodę, bo maszt się złamał.

„Kiedyśmy pędzeni wiatrem zbliżali się do nieznajomego brzegu, tak opisuje dalej ksiądz Bettmann, kilkunastu majtków wsiadło w czółno, ale cóż, wkrótce byliśmy świadkami ich śmierci; czółno tylko jeszcze bałwany morskie wyrzuciły na powierzchnią wody, ale ludzie już znaleźli grób w wodzie. My na okręcie ocaleliśmy; okręt stanął nareszcie w porcie, w skutek uspokojenia się burzy, ciała tych co potonęli na łodzi, zostały na ląd poczęści wyrzucone, a między temi, i ta dobra pobożna murzynka, która tak krótko przeżyła Williama, którego była pocieszycielem Aniołem przy zgonie.

Wkrótce też przyniesiono i trupa zawiniętego w płaszcz obszerny.

„Przypatruję się, mówi dalej ksiądz Bettmann, poznałem że to ten zacny poczciwy John, który tak mocno żałował zmarłego przyjaciela swego. Mój Boże, mówiłem do siebie, tak krótko żyliście, a gotując na śmierć przyjaciela swego, sądziliście, że jeszcze długie przed wami jest życie, kiedy już wtenczas i wasze dni policzone były.

„O! jakże powinniśmy się modlić; jak nie należy się przywiązywać do znikomego życia tego, a zawsze myśleć o życiu prawdziwem, życiu wiecznem, szczęśliwem, i na takie ży-

cie w każdej chwili tu na ziemi zasługiwać powinniśmy. Tak na twarzy murzynki, jako i Johna, malowała się tak miła spokojność duszy, że taki wyraz po śmierci zachować może oblicze tylko człowieka sprawiedliwego.“

IV.

K a n a r e k.

„Kanarki! kanarki! kto kupi ładne kanarki?“

Tak krzyczał głośno człowiek przed domem, gdzie mieszkali rodzice Józefy. Józefa słysząc to wołanie, pobiegła do okna i patrzała na wszystkie strony. Spostrzegła ptasznika co nosił na głowie klatkę pełną kanarków, które śpiewały tak pięknie, i tak zgrabnie przeskakiwały z jednego kijka na drugi, że

Józefa zdjęta ciekawością, ledwie oknem nie wyskoczyła, aby ich zbliska obaczyć.

„Czy panna kupi kanarka? zawoła ptasznik.“

„Może, odpowiedziała Józefa, to nie zależy całkiem ode mnie; proszę moment poczekać, pójdę i Papę o pozwolenie poproszę.

Ptasznik obiecał, że poczeka. Po drugiej stronie ulicy stała ławka kamienna, usiadł na niej i klatkę przy sobie postawił. Józefa tymczasem pobiegła do ojca; zadyszana wpadła do jego pokoju, wołając:

„Papo! chodź żywo za mną! chodź co prędzej!“

„I cóż to za interes tak nagły?“ zapytał ojciec.

„Człowiek jakiś tam kanarki sprzedaje. Ma ich ze sto w wielkiej klatce, którą na głowie nosi.“

„I dla czegóż to ciebie tak cieszy?“

„Ach, mój ojcze, bo ja chcę... jeżelibyś dozwolił, tobym sobie jednego kupić chciała.“

„A maszże dosyć pieniędzy?“

„O! mam tyle ile będzie potrzeba!“

„Ale któż ptaszkom da jeść?“

„Ja, ja, mój Papo! Obaczysz, że będzie kontent, że się dostał w moje ręce.“

„Oj, ale ja się boję...“

„A czegóż to?“

„Że u ciebie zdechnie z głodu, albo z pragnienia.“

„U mnie by miał zdechnąć z głodu? O! nie, zapewne, nigdy śniadania swego nie dotknę się, nim ptaszkowi jeść nie dam.“

„Józiu! Józiu! bardzo roztrzepana jesteś; tylko przez dzień, albo przez dwa dni, a później zapomnisz...

Józefa tak mocno przyrzekała ojcu, że się będzie miała na ostrożności, tyle go całowała, tyle prosiła, że pan Górowski nakoniec przysłał na jej żądanie.

Przeszedł ulicę trzymając ją za rękę. Stanęli przy klatce i wybrali najpiękniejszego kanarka; miał pióro

koloru żółtego tak żywego jak złoto, i małą łatkę czarną na główce.

Kto opisze radość Józefy? Oddała ojcu sakiewkę, w którą chowała darowane sobie czasami pieniądze, aby z nich zapłacił ptasznikowi. Pan Górowski z swojej kieszeni dołożył tyle że kupiła sobie jeszcze ładną klateczkę ze żłóbkiem i szklaneczką do wody.

Zaledwie Józefa powiesiła klatkę z kanarkiem w swoim pokoju, aliści już biegała po całym domu, opowiadając matce, siostrom i wszystkim służącym, że Papa kupił jej najpiękniejszego ptaszka. Kiedy przyjaciołka jaka przyszła ją odwiedzić,

pierwsze słowa po powitaniu były: „A czy wiesz, że mam najładniejszego kanarka w całej Warszawie? Taki żółty jak złoto, a na główce ma łatkę tak czarną, jak pióra u kapelusza mojej mamy. Chodź pokażę ci go, nazywa się Mimcio.“

Szczęśliwy był Mimcio u Józefy. Wstając nie myślała o sobie, aż póki mu świeżego siemienia i czystej wody nie dała. Kiedy biszkopciki obnoszono przy obiedzie, najprzód odkładała parę dla Mimcia, a potem dla siebie. Zawsze wyszperała kawałek cukru dla niego. Klatka ze wszystkich stron otoczona była rzepakiem i makiem. Mimcio

też pokazał się wdzięcznym za tyle wyświadczonej dobroci. Nauczył się poznawać Józefę, i skoro się ukazywała w pokoju, kanarek śpiewał i trzepotał skrzydełkami, okazując radość swoję.

Po upłynieniu tygodnia, zaczął śpiewać. Sam wynajdywał sobie nuty dość ładne; czasem tak długo głos wytrzymywał, że zdawało się iż upadnie i skona z zbytecznego natężenia, ale on przestawszy potem na moment, znowu zaczynał, głos jego był tak piękny i mocny, że go w każdym kącie domu słyszano.

Józefa po całych godzinach siedziała przy klatce, słuchając śpiewy

kanarka. Czasem robotę z rąk upuszczała, patrząc się na niego, a kiedy ucieszył ją swojem śpiewaniem, ona znowu grała mu piosenkę na pozytewce, którą ptaszek starał się powtórzyć.

Józefa pomału przyzwyczaiła się do tych zabaw; ojciec podarował jej raz książkę z obrazkami. Ta ją tyle zajmowała, że zapomniała trochę o Mimciu. Daremnie on trzepotał skrzydełkami, kiedy ją spostrzegł, Józefa nie patrzała się na niego.

Przez cały tydzień prawie ani świeżego rzepaku, ani biszkopcików nie dostał. Powtarzał najładniejsze aryje, których go Józefa nauczyła,

sam wynajdował nowe, wszystko nadaremnie. Józefa wcale inne rzeczy miała w głowie.

Nadeszły imieniny Józefy, stryj podarował jej lalkę, chodzącą na kółkach. Ta lalka, którą Józia nazwała Kolombina, zupełnie z jej pamięci wybiła Mimcia. Od rana do wieczora Józefa ubierała i rozbierała pannę Kolombinę, gadała z nią i toczyła ją po pokoju. Biedny ptaszek, zaledwie wieczorem trochę żeru dostawał. Czasem i dzień cały pościć musiał.

Nakoniec jednego dnia pan Górowski siedząc przy obiedzie, przypadkowo rzucił okiem na klatkę i

zobaczył, że kanarek przewrócił się na wznak, i z trudnością oddychał. Piórka jego odstawały od ciała. Pan Górowski zbliżył się, ptaszek się nie odezwał; biedne stworzenie zaledwie miało dosyć siły do oddychania.

— Józefo! zawołał pan Górowski, cóż to twemu kanarkowi?

Józefa się zarumieniła.

— Ach! moj ojcze.... powiedziała jąkając się, bo ja... bo ja zapomniałam... i cała drżąca poszła po siemię.

Pan Górowski zdjął klatkę z gwoździa, na którym wisiała. Niestety, biedna ptaszyna nie miała ani kropli wody, ani jednego ziarnka siemienia w żłóbku.

— O! nieszczęśliwe stworzenie, zawołał pan Górowski, dostałoś się w ręce okrutnego dziecięcia. Gdybym mógł był przewidzieć co się stanie, nigdybym ciebie nie kupił.

Wszyscy co siedzieli u stołu, litowali się także nad losem biednego ptaszka.

Pan Górowski nasypał siemienia w żłóbek, napełnił szklaneczkę wodą świeżą, z trudnością przywrócił Mimcia do życia.

Józefa już nie siadała do stołu; poszła płacząc do swego pokoju; chustka którą twarz obcierała, była cała mokra od łez.

Na drugi dzień pan Górowski roz-

kazał, aby kanarka zanieść do domu sąsiada pana Marszewskiego, i podarować go synowi jego, który za bardzo pilnego chłopczyka był znany.

Tu trzeba było słyszeć płacz i narzekania Józefy.

— O mój biedny ptaszku, zawołała, mój kochany Mimciu! Ach! papo, zostaw mi go tylko ten raz jeszcze, a przyrzekam że o nim ani na moment nie zapomnę.

Temi prośbami wymogła na ojcu, że jej kanarka oddał. Ale wyłajał ją mocno i napomniał, aby na przyszłość miała się na ostrożności.

— Biedne to stworzenie, mówił on,

siedzi zamknięte, samo nie może potrzeb swoich zaspokoić. Jeżeli tobie na czem zbywa, tedy ty potrafisz powiedzieć czego ci potrzeba, ale Mimcio gadać nie umie. Jeszcze raz tylko niech on z twojej przyczyny cierpi głód lub pragnienie...

Gdy to ojciec mówił, Józefa zalała się łzami. Pocałowała ojca w rękę, ale z żalu ani słowa przemówić nie mogła. Drugi raz została panią Mimcia, który wkrótce o swoich cierpieniach zapomniał.

W miesiąc potem pan Górowski z żoną musiał wyjechać na kilka dni dla sprawy bardzo ważnej.

— Józefo, Józefo, rzekł, odjeżdża-

jąc, do córki, pamiętaj dobrze o Mimciu.

Zaledwie rodzice do kocza wsiedli, już Józia pobiegła do klatki i troskliwie opatrzyła ptaszka we wszystko, co mu było potrzebne.

Po kilku godzinach zaczęła się nudzić; posłała po swoje przyjaciołki. Gdy te przyszły, bawiły się z nią, potem poszły razem na spacer. Powróciwszy ze spaceru, grały wieczorem w ślepą babkę, nareszcie potańczyły. Nakoniec małe dziewczęta rozeszły się wieczorem dosyć późno, a Józia znużona spać się położyła.

Drugiego dnia obudziła się razem z wschodem słońca. Zaraz sobie przy-

pomniała wczorajsze zabawy. Chciała ażeby służąca prędko pobiegła po przyjaciołki; ale guwernantka na to nie dozwoliła, i aż do południa czekać trzeba było. Zaledwie obiad zjadła, kazała się zaraz zaprowadzić do sąsiadek. A Mimcio? Sam się został i pościł.

Dzień następujący podobnież na zabawach spędziła.

A Mimcio? Znowu o nim zapomniano.

Trzeci dzień tak zeszedł jak dwa pierwsze.

A Mimcio? Któżby też o nim mógł myśleć podczas tylu rozrywek?

Czwartego dnia państwo Górowscy

powrócili z drogi. Józia ani pomyślała o ich powrocie. Zaledwie ojciec ją pocałował i spytał się: jak się masz Józiu? zaraz też dodał:

— Jak się ma Mimcio?

— Bardzo dobrze, odpowiedziała Józefa nieco pomięszana, i pobiegła do klatki, żeby ptaka pokazać.

Niestety! biedny kanarek już nie żył! Leżał na wznak, z opuszczonemi skrzydłami i z rozdziawionym dzióbem.

Józefa krzyknęła z przestrachu; załamała ręce. Cały dom zbiegł się, wszyscy widzieli co się stało.

— Ach, biedny, biedny ptaszku, zawołał pan Górowski, jakże twoja

śmierć była bolesną! Gdybym cię był zadusił w dzień mojego odjazdu, cierpiałbyś tylko przez moment, a tak przez kilka dni czułeś okropne męczarnie głodu i pragnienia. Szczęśliwy jesteś przynajmniej w tem, żeś uwolniony z rąk tak nieczułego dziecięcia.

Józefa zawstydzona, nie wiedziała gdzie się skryć; oddałaby chętnie wszystkie swoje uzbierane pieniądze i wszystkie swoje lalki, aby Mimciowi życie przywrócić, ale nadaremnie.

Pan Górowski kazał wziąść ptaka, wyjąć z niego wnętrzności i wypchać go słomą. Zawiesił go potem na haku, znajdującym się w suficie.

Józefa nie mogła nigdy patrzeć w ową stronę, płakała skoro tylko przypadkiem rzuciła okiem na ptaka; co dzień prosiła ojca, żeby go zdjąć kazał.

Po długich prośbach pan Górowski zgodził się na to, ale za każdym razem, kiedy Józia pokazała się trzpiotem lub lekkomyślną, ptaka znowu zawieszali na haku, i słyszała wtenczas jak wszyscy mówili:

— Biedny Minciu, jakże twoja śmierć była okropna.

V.

Antoś i Joasia.

Piękny był dzień, a pan Wołowski przyrzekł swoim dzieciom, Antosiowi i Joasi, że z niemi pójdzie do dużego ogrodu za miastem. Poszedł do swego pokoju, aby się ubrać, a dzieci tymczasem zostały w salonie.

Antoś pełen radości, skakał tu i owdzie, a że był nieostrożny, nie oglądał się wokoło siebie, trącił nogą o wazon kwiatów rzadkich, które ojciec z największą starannością pielęgnował, i które kazał zdjąć z okna

i postawić w kącie, aby im upał słoneczny nie zaszkodził; wazon się przewrócił, a jeden z najpiękniejszych kwiatów odłamał się od krzaka.

— Ach! braciszku, co zrobiłeś? rzekła Joasia, podnosząc kwiat odłamany.

Jeszcze go trzymała w ręku, kiedy pan Wołowski, ubrawszy się, wszedł do pokoju.

— Jak to Joasiu, rzekł rozgniewany, zrywasz kwiat, który ja z takiem staraniem pielęgnowałem, aby z niego mieć nasienie?

— Kochany ojcze, odpowiedziała Joasia cała drżąca, nie gniewaj się, bardzo proszę.

— Nie gniewam się, rzekł na to pan Wołowski, uspokoiwszy się nieco, ale że mogłaby ci przyjść chętka zrywać kwiaty w ogrodzie, gdzie pójść mamy, a który nie jest moim, więc pozostaniesz w domu.

Joasia spuściła oczy i zamilkła. Antoś już się wstrzymać nie mógł dłużej. Zbliżył się do ojca i powiedział:

— Moja siostra nie ułamała tego kwiatu, ja to zrobiłem, ja więc w domu powinienem zostać. Kochany ojcze, weź Joasię z sobą.

Pan Wołowski uradowany, widząc że się jego dzieci tak kochały, i tak szczerze wyznawały swoje błędy, pocałował obydwoje, i rzekł:

— Oboje was kocham serdecznie, oboje pójdziecie ze mną na spacer.

Antoś i Joasia podskoczyli z radości.

Spacerowali po ogrodzie. Pokazano im najciekawsze rośliny. Pan Wołowski widział z ukontentowaniem, jak oboje z największą ostrożnością strzegli się, aby jakiej szkody nie zrobić.

Kwiat który stracił, zapewneby mu był sprawił wiele przyjemności, ale ileż większą była przyjemność, którą uczuł, widząc kwitnące w swoich dzieciach roztropność, niewinność i przywiązanie wzajemne.

VI.

Dwa luidory.

Chłopiec czternastoletni chodzący z paczką towarów od wsi do wsi, zaszedł do pięknego zamku. Szczęśliwy przypadek sprowadził go do pokoju bawialnego, gdzie wiele gości było zebranych. Grano w karty o dosyć znaczne summy. Chłopiec widząc tyle złota i srebra na stole rozłożonego, zawołał zdziwiony:

— O Boże! gdybym miał tylko dwie sztuki złota, byłbym najszczęśliwszy człowiek.

Pani domu usłyszała te słowa, obróciła się do chłopca, popatrzała się na niego, a ujęta jego skromną i piękną postawą, rzekła:

— Jakże to? dwie sztuki tego złota zrobią cię najszczęśliwszym człowiekiem? Powiedz mi jakim sposobem?

Mały kupiec oświadczył, jakimby sposobem użył tę summę. Dama, której się odpowiedzi jego podobały, dała mu dwa luidory mówiąc.

— Oto masz coś sobie życzył. Oby ci się poszczęściło!

Po dziesięciu latach, młody kupiec, który wrzeczysamej do bar-

dzo dobrego przyszedł bytu, przejeżdżał przez okolicę, gdzie się ów zamek znajdował. Miał z sobą wóz pełen towarów, trzema końmi zaprzężony. Wstąpił do pałacu, pytał się czyli kto czego nie kupi — nikt nie chciał.

— Proszę mi pozwolić, mówił, samej pani okazać moje uszanowanie.

Gdy mu to pozwolono, wziął sztukę najpiękniejszej materyi jedwabnej, zaniósł ją pani, i prosił aby to przyjąć raczyła.

— Jużem panu powiedzieć kazała, rzekła ona, że nic kupić nie myślę.

— Nie chcę ja też sprzedać to pani,

odpowiedział kupiec, proszę tylko, abyś pani była tyle łaskawą przyjąć co jej ofiaruję.

— Ależ mój panie, zapytała go zdziwiona dama, nie zechcesz zapewne, abym to przyjęła nie zapłaciwszy?

— I owszem, ta materyja należy do pani, jest jej własnością.

— Moją własnością? zapytała, a to jakim sposobem?

— Racz sobie pani przypomnieć, odpowiedział kupiec, jak tu w tym samym pokoju przed dziesięcioma laty, młody chłopiec na widok leżącego na stole złota i srebra za-

wołał: „Dwie sztuki tego złota zrobią mię najszczęśliwszym człowiekiem.“ Pani byłaś tak łaskawa żeś mu je dała; teraz widzisz tegoż samego chłopca przed sobą, podarunek pani jest zasadą dobrego stanu, w którym się teraz znajduję, i rzeczywiście pani jesteś sprawczynią mojego szczęścia. Proszę i nalegam nie odrzucaj pani tej małej oznaki mojej wdzięczności.

Dama wzbraniała się jeszcze przyjąć podarunek tak kosztowny, lecz przyjaciele prosili ją, aby odmówieniem nie zasmucała poczciwego człowieka. Wszystkim podobała się je-

go wdzięczność i uczciwy sposób myślenia; i dla okazania mu względów i przychylności prawie wszystkie towary jego rozkupili.

VII.
Przechadzka Zuzi.

Zuzia czytała książkę o Misyjonarzach. Tam się nauczyła, że cnotliwi kapłani, którzy tak się nazywali, byli to duchowni, którzy poświęcali życie swoje na dobro bliźnich swoich; że oni to rozszerzali oświatę i naukę Wiary świętej pomiędzy dzikimi narody; że oni życia i krwi swojej nie szczędzili dla nauki Wiary świętej i moralności.

Przeto Zuzia, która była bardzo pobożna, tak często mawiała do matki:

— Moja mamo! z tego co ja tu się dowiaduję, i z żywotów Świętych Pańskich, co za Wiarę Zbawiciela męki ponosili, widzę i przekonywam się, że każdy człowiek a do tego Chrześcijanin, powinien Wiarę świętą Chrystusową i moralność zaszczepiać i krzewić pomiędzy bliźnimi swoimi, pomiędzy braćmi, boć my tu na ziemi wszyscy ludzie śmiertelni braćmi sobie jesteśmy, a Bóg jest to nasz Ojciec najdobrotliwszy; powiedz mamo, czy ja mam słuszność?

— Tak jest moje dziecko! dobrze pojmujesz naukę naszego Pana i Zbawiciela, i cieszę się z tego, że tak myślisz.

I Zuzia się ucieszyła, że matka pochwaliła ją, więc postanowiła sobie być misyjonarką.

Trzeba wiedzieć, że Zuzia bardzo była roztropna nad wiek swój, i coraz więcej nabierała mądrości, czytając książki pobożne i żywoty Świętych Pańskich; kiedy jednego razu Zuzia poszła do ogrodu, zaszła aż w koniec alei, i usłyszała że ptaszki świergolą w krzaku; stanęła i zaczęła podsłuchiwać; wtem widzi, że samiczka na gniazdeczku usiadła i karmi dzeci swoje; to bardzo rozczuliło Zuzię.

— Mój Boże! pomyślała sobie, to i moja mama mnie tak karmiła!



to i te stworzenia mają uczucie miłości macierzyńskiej! Ale czy te ptaszęta będą tak posłuszne i przywiązane do matki, jako ja jestem dla mamy mojej? O! pewnie, pewnie że tak, bo inaczej toby im Pan Bóg nie błogosławił, a przecież one żyją, i żyją od wieków.

Tak sobie myślała o tem Zuzia, która już kończyła lat ośm, i była bardzo rozumna. Poszła więc jeszcze dalej, gdzie widok otwierał się na chaty z ogrodem położone. Cóż więcej tu Zuzia widziała? Oto wieśniaczka Murzynka wybiega z chaty, goni za małym chłopczykiem Murzynkiem, dopędza go, bierze go za

włosy, i siecze go batogiem, który miała w ręku. Chłopczyk krzyczy a matka biczuje go bez litości, tak, że Zuzia aż się rozpłakała.

— Mój Boże! tak mówiła do siebie, na cóż tego bicia! żeby ta matka czytała te książki, które ja czytam, toby łagodnie dała naukę dziecku swemu, i byłoby dobrze; ale że ona widać nie nauczyła się sama miłości chrześcijańskiej, więc też w batogu tylko szuka prawa swego macierzyńskiego. O! Boże! dopomóż mi, ażeby i matkę i syna nawrócić i oświecić! Jakże biedni są ci Murzyni!

Ale cóż się dzieje? Oto Zuzia o godzinie drugiej po obiedzie zawsze

wychodzi do ogrodu, i powraca aż o godzinie czwartej lub też i później. Matka nie zważała na to mówiąc sobie: Niech sobie dziecko używa swieżego powietrza.

Kiedy Zuzia się spóźniła, matka się pytała:

— Zuziu, powiedz mi, co to jest że już od dwóch tygodni spóźniasz się na podwieczorek? dla czego tak bywasz zamyślona? Czyż nie jest ci przyjemniej być z matką i z tateczką, aniżeli tam błądzić po ogrodzie, i przypatrywać się tym ptaszkom, których jak powiadasz, matka tak kocha jak ja ciebie?

— Moja mamo, odrzekła Zuzia,

Pismo święte mówi: „Niech twoja prawa ręka nie wie o tem, co czyni lewa;“ ja mam moję tajemnicę, o której ty kochana mamo się dowiesz, ale aż w pewnym czasie; to tylko ci powiem mamo, że ja choć się spóźnię, to nic złego nie uczynię, bo kocham Pana Boga i ciebie.

Bardzo była ciekawa matka Zuzi, co też ona ma za tajemnicę; i dla tego, kiedy jednego razu mąż jej a ojciec Zuzi, przyszedł wcześniej do domu, tak do niego mówiła:

— Mój przyjacielu, coś się dzieje niezwykłego z naszą Zuzią; dobre dziecko, posłuszne, obyczajne do książ-

ki ochocze, bogobojne i miłosierne, spóźnia się na podwieczorek już od czterech tygodni. Co ona tam robi w tym ogrodzie? co ją tam tak zatrudnia? Ptaszki już wyszły z gniazda, a ona wciąż się spóźnia; powiada że ma tajemnicę, którą mi później odkryje, i tym się zasłania, że według Pisma świętego: „Prawa ręka nie powinna wiedzieć, co czyni lewa.“ Co to jest mój mężu? ja nie mam czasu ją śledzić, ale ty ojciec, powinieneś to uczynić.

— Tak jest, odpowiedział ojciec Zuzi, nietylko że winienem śledzić postępków dziecka naszego, ale mam ci za złe, żeś mi o tem wcześniej

nie powiedziała; i ojciec poszedł do ogrodu, ażeby wyśledzić co czyni Zuzia.

Zapomniałem wam powiedzieć moje dziatki, że Zuzia i jej rodzice mieszkali w Ameryce, gdzie Murzyni, to jest ludzie czarnego koloru, służą Amerykanom i od nich są często traktowani tak, jakby to były zwierzęta; więc Murzyni i nauki po większej części tam nie znają i biedacy żyją też prawie jak zwierzęta. Ale idźmy dalej, co ojciec Zuzi wypatrzył.

Zadziwił się niepomału, kiedy w ogrodzie nie znalazł Zuzi. Niespokojny więc o dziecko ojciec, szedł

dalej, i zaszedł do najbliższej chaty Murzynów.

Wtem wychodzi z chaty kobieta Murzynka. Ojciec Zuzi pyta się:

— Moja kobieto, czy nie znacie też mojej córki Zuzi?

— Zuzi? tej ładnej blondynki? a któżby nie znał tego kochanego aniołka! My ją wszyscy znamy od dwóch już miesięcy. Ona to mnie nauczyła, że nie trzeba dziatki bić, tylko je nauczać; ona to mojego syna i inne dzieci sąsiadów naucza o Bogu, o Zbawicielu, o posłuszeństwie dla rodziców. Chodź panie! a przekonasz się, że ta twoja Zuzia, ten anioł, siedzi teraz na pniaku i

uczy czytania i pisania dziatki nasze; a jak dobrze się popiszą, to im czyta żywoty Swiętych Pańskich! O! panie! dziękuj Bogu, że ci takie dał poczciwe dziecko!

Tak mówiła Murzynka, a serce ojca rosło z radości.

A cóż dopiero, kiedy Murzynka przez furtkę wskazała mu ścieżkę, którą mógł dojść do ogródka, w którym, jak mówiła, będzie mógł widzieć Zuzię pomiędzy dziatwą murzyńską. Wchodzi ojciec do ogrodu — ścieżka prowadzi go do alei — widzi Zuzię — ona siedzi na pniaku, przy niej mały Murzynek słucha co ona mówi; trzy



małe Murzynki słuchają słów swojej nauczycielki.

— Widzisz panie! mówiła Murzynka wieśniaczka, te dzieci były tak złe i nieposłuszne, że ja bić je musiałam, ale odtąd jak ta wasza córka Zuzia uczy ich religii i poczciwości, te dzieci są dobre i posłuszne. To ja i moi sąsiedzi zawdzięczamy Zuzi córce waszej.

Ojciec ukrył się za drzewem i słuchał, co też Zuzia mówi, i usłyszał te słowa:

— Czcij ojca i matkę twoją, ażebyś długo żył i dobrze ci się powodziło; a kto tego nie wypełni, ten bardzo smutnie kończy żywot swój; bo oj-

ciec i matka to są dziecku namiestnikami Boga Pana naszego! bądźcie więc posłuszni rodzicom waszym. Jakżeż kochani bracia i kochane siostry moje, czy chcecie być posłusznymi waszym rodzicom?

— Ach! tak! tak! zawołały dziatki czarne. Będziemy im posłusznymi, ażeby przypodobać się Bogu!

— Otóż bracia i siostry, dziś kończy się na tem nasza nauka; muszę iść, bo moja mama i tatka czekają na mnie, ale jutro znowu do was przyjdę.

Wstała Zuzia, a ojciec ze łzami w oczach zbliżył się i uściskał to dobre dziecko.

— Zuziu moja, mówił ojciec, co cię tu spowodowało, że tu przyszłaś nauczać te biedne dziatki?

Zuzia, która nic się nie zmięszała na tak niespodziewany widok ojca, odpowiedziała:

— Ja nie wiem tateczko! mnie się zdaje, że Pan Bóg; bo jeżelim uczyniła co dobrego, to może nie pochodzi odemnie, ale od Pana naszego.

— Ale dziecię moje kochane, dla czegóż ta twoja tajemnica? Powinnaś mamie była powiedzieć i mnie, co czynisz.

— To byłoby tak, żebym tego żądała, abyś ty tatko i mama mnie pochwalili; a przecież Pismo ś. mówi:

„Co prawa ręka czyni, to lewa o tem wiedzieć nie powinna.“

Ojciec uściskał Zuzię i odprowadził ją do domu.

Jakaż to była radość matki, gdy się dowiedziała o sprawach świątobliwych ukochanej Zuzi!

Ale co innego się jeszcze stało: Ojciec Zuzi powiedział sobie tak: „To moje kochane dziecko jest mi skazówką, co mam dalej czynić; mam wielkie dostatki — a cóż mam mieć Murzynów niewolników, kiedy ja wolę mieć z nich braci i przyjaciół moich? Cóż mi szkodzi poświęcić połowę mojego tak wielkiego majątku na szkółki, na szpital i na dom przytułku

i pracy tych czarnych bliźnich moich, których moja Zuzia tak pokochała? Czyż mi Bóg to już naprzód nie zapłacił, dając mi tak dobre, cnotliwe dziecię, które pociechą będzie mojej starości? Czyż ja żyć będę lat tysiąc, żebym pragnął większego jeszcze majątku, kiedy lada chwila, a Bóg mnie powołać może przed sąd swój sprawiedliwy?„

I tak też uczynił ojciec Zuzi; połowę swojego majątku poświęcił na dom ochrony, na szkołę i na szpital dla Murzynów. Długo on żył i był szczęśliwy z żoną swoją, uwielbiany od Murzynów jako ich dobroczyńca, a Zuzia szczęśliwa w zamęś-

ciu swojem; kiedy Pan Bóg jej dał dziatki, nauczała ich chwały Bożej, i jak szanować mają rodziców i dziadka swojego, i babcię jej matkę. Otóż tak to Pan Bóg błogosławi dobrym dzieciom, i dobrym rodzicom. Bądźcież i wy dobrymi, posłusznymi i pobożnymi kochane dziatki! a Pan Bóg wam pobłogosławi w tem, i w przyszłem życiu.

VIII.

Ciocia Anna, czyli Dwie książeczki.

Ciocia Anna wyjeżdżała do Francyi. Chciała ona coś dać na pamiątkę Antosi i Józi.

Antosia dowiedziała się o tem, że ciocia chce im dać coś na pamiątkę, więc mówiła do Józi:

— Obaczysz, że ciocia nam da albo lalkę, albo skrzyneczkę z zabawkami, albo może całe gospodarstwo; bo ciocia na dwa lata się wybiera do Paryża.

— Ej, jabym wolała, mówiła Józia, żeby ona nam coś takiego zostawiła coby w dłuższej po niej było pamięci; na przykład: żeby nam dała zegarek, albo wiesz co? oto książkę jaką pożyteczną; tobym ja sobie życzyła.

— E! cóż tam książka, mówiła Antosia, książka to tylko naucza, ale nie bawi; jabym chciała czegoś coby mnie bawiło, a przypominało ciocię.

Tak sobie gadały te dziewczęta, ale cóż? Ciocia odjeżdżając ucałowała swoje siostrzenice, i w upominku dała im dwie ślicznie złocono-oprawne książki, obie jednakie;

były to książki moralno-religijne, gdzie można było nauczyć się, jak kochać Boga i bliźniego, jak być cnotliwym człowiekiem i Chrześcijaninem, i jak być szczęśliwym na tej ziemi i w życiu przyszłem.

— Moje dziatki! mówiła ciocia przy pożegnaniu, zostawiam tu wam dwie książki, obie są piękne, obie pożyteczne; chciałabym tylko wiedzieć, jaki wy z nich użytek zrobicie?

Pożegnała się ciocia i odjechała. Siostrzenice długo tęskniły za ciocią. Ale cóż się dzieje z książkami? Józia zaraz wzięła się do czytania, a że książka zawierała w sobie same tylko nauki religijne i moralne, więc

Józia czytając codziennie swoją książeczkę, stawała się też co dzień cierpliwszą, posłuszniejszą, pobożniejszą; słowem w krótkim czasie Józia była wspominana, jako wzór miłych, grzecznych, rozsądnych i dobrych panienek, i wszyscy też Józię kochali, a każdy starał się jej zawsze uczynić coś przyjemnego; a że była bardzo lubiona, więc też często odbierała podarunki rozmajte, już to od przyjaciół, już to od krewnych swoich.

Ale cóż znowu dzieje się z siostrą starszą, to jest z Antosią? Czy też ona także jest tak kochana, czy także otrzymuje podarunki? Bynajmniej. A to czemu? Bo ona nie

czytała swojej książki. Obwinęła ją w papier, i tak sobie mówiła:

— Jeżelibym chciała czytać, to mogę czytać z książki Józi; ona już taka zużyta! A moją książkę pokażę cioci; toż to dopiero ona się ucieszy, że moja książka taka czysta, jakby nowa. Ciocia mi pewnie za to co pięknego podaruje! Oh! żeby też to taką toaletkę, jak ma Leosia, o! jakżebym była szczęśliwa!

Tak sobie mówiła Antosia, i nic nie czytała, bawiła się tylko, biegała po ogrodzie, rozpustowała, słowem była nieznośna dla wszystkich; matka ją też co dzień łajała a nawet i po-

kuty zadawała, wtenczas, kiedy Józia otrzymywała pochwały i nagrody.

Matka wiedziała dobrze, co to za przyczyna, że Józia taka grzeczna i dobra, bo widziała jak ona pilnie i regularnie rano i wieczór czyta swoją książkę, i zawsze o co spytała, Józia odpowiedziała z pamięci; bo ona czytała z uwagą.

Cóż się stało? Oto jednego dnia zajeżdża powóz. Ciocia wysiada.

— Ciocia! ciocia! zawołała Józia i Antosia. Ciocia przyjechała!

Cóż to była za radość!

Kiedy już wszyscy się uspokoili, ciocia rozpakować kazała rzeczy i

wydobyto prześliczną toaletkę z różnemi rzeczami ślicznemi: były tam nożyczki angielskie, naparstek, z perłowej macicy scyzoryczek, igielnik z kości słoniowej, szpilki, igły angielskie, puszka z pomadą srebrna, perfumy w kryształowych flaszeczkach i dukat zawinięty w papier różowy; a cała toaletka była hebanowa wysadzana w kwiaty z perłowej macicy; a wewnątrz cała toaletka wybita była aksamitem różowym.

Ciocia się zapytała mamy:

— A czy też masz dzienniczek?

Matka dała cioci dzienniczek do przeczytania. Ileż tam było po-

chwał dla Józi, a ile było nagany dla Antosi!

Ciocia dalej zapytała:

— A macie też jeszcze książki te, którem ja wam zostawiła?

— Mamy! mamy! zawołała Antosia, i pobiegła po swoją książeczkę; zdjęła z niej okładkę papierową i poszła pokazać cioci, że książeczka jak nowa.

Józia tylko zmartwiła się, że jej książka nie była tak świeża, jak książka Antosi.

Ciocia przypatrzyła się dobrze czyja książka jest używana, a czyja nie. Ciocia potem tak dalej mówiła do Józi:

— Moja Józiu! tyś dobrze zrozumiała, jakie jest przeznaczenie książki. Nie jest to sprzęt, ani mebel, któryby spoczywał sobie spokojnie i nietykalnie; książka jest na to, aby ją czytać i z niej się uczyć. Tyś tak czyniła; czytałaś, nauczyłaś się z tej książki, jak być pobożną, pilną, posłuszną i grzeczną; widzę tego dowody w pochwałach, jakie ci zapisała mama. Antosia zaś zamiast czytać, zawinęła książkę w papier, bawiła się i nie nauczyła się tego co Józia. Ja przeznaczyłam tę toaletkę tej, co lepszy uczyni użytek z książki swojej; więc nie weźmiesz mi za złe, moja Antosiu, że

toaletkę dam Józi, w nagrodę jej pięknych postępków i pilności.

Józia ucałowała ciocię; ale że jej było przykro, że Antosia stała zapłakana, bo nic nie dostała, więc tak mówiła do cioci:

— Moja ciociu! Antosia taka smutna, ona nie ma nic! Pozwól ciociu, niech ta toaletka należy jeden tydzień do mnie, a drugi tydzień do niej.

Ciocia pocałowała znowu Józię i tak jej odpowiedziała:

— Pozwalam na to, ale pod tym warunkiem, żebyś dała jeszcze jeden dowód, jak kochasz twoją siostrę: Oto czytaj z nią razem, jeszcze raz

tę książkę, i uczcie się razem tak, ażeby jedna drugą wypytywała, bo przez pytania i odpowiedzi najlepiej się uczyć.

Tak się też stało; Antosia wkrótce się poprawiła i prawie wyrównała Józi we wszystkiem; a potem za to ciocia jej taką samą kupiła toaletkę. Widzicie, jak to jest pięknie i pożytecznie poprawić się w tem, co jest w nas złego.

IX.
Kazio pobożny.

Kazio był synek bardzo poczciwego, ale ubogiego wyrobnika. Rodzice Kazia mieszkali w Warszawie. w mieście stółecznem Królestwa Polskiego, gdzie pełno jest wspaniałych pałaców. Miasto to leży nad Wisłą tak jak Kraków, tylko że Wisła oblewa Kraków od zachodu i południa, a Warszawę tylko od wschodu. W Warszawie, jak po wszystkich wielkich miastach, wiele jest nędzarzów, tak zwanych gałganiarzów, któ-

rzy tylko z tego się utrzymują, że zbierają po śmieciach gałgany i kawałki szkła potłuczonego, a później takowe sprzedają do papierni i hut szklannych, gdzie ze starych gałganów robią papier, a z kawałków szkła potłuczonego robią szklanne naczynia, lub też szyby do okien, jako też zwierciadła i t. p. Inni znowu ubodzy roznoszą lub rozwożą po domach wodę, inni robią miotły, łyżki drewniane, małe chłopcy roznoszą też piasek wiślany w workach, i tak to jakoś żywią się ci biedacy. Ale pomiędzy takiemi chłopcami są i tacy, co od dziecieństwa już zepsuci,

pod pozorem zbierania gałganów kradną, gdzie tylko mogą.

Rodzice Kazia bardzo kochali za to, że im był posłuszny i nie chodził zbierać gałganów, jak go do tego inni chłopcy namawiali.

Jednego razu Kazio szedł bardzo zasmucony do domu. Nauczyciel tej szkoły, do której on uczęszczał, spostrzegł Kazia kiedy tak zasmucony wracał do rodziców. Trzeba wiedzieć, że dniem wprzódy nauczyciel ten skarcił był jednego chłopca, który niby-to szukając gałganów, umiał zręcznie zakrzywioną laską swoją wyciągać z wozów różne rzeczy, i takowe sobie przywłaszczać. Tego to nauczy-



ciela widzicie tu na obrazku, jak on grozi temu niegodziwemu chłopcu, że go oskarży, jeżeli on nie poprzestanie szkaradnej kradzieży.

Nauczyciel dał znak, żeby się Kazio zbiżył. Co gdy się stało, zapytał Kazia o przyczynę smutku jego. Kazio się zmięszał — ale zresztą przyznał się, że jego rodzice tak są biedni, że już od wczoraj nic nie jedli.

— No, moje dziecko, rzekł nauczyciel, masz tu złotówkę, kup chleba i zanieś do domu.

Kazio uczynił jak mu kazał nauczyciel, poszedł do piekarza i od niego widział go wychodzącego na-

uczyciel, ale już z miną wcale wesołą. Nauczyciel, nie tylko że był człowiek dobroczynny, ale i majętny. Lubił on pomagać ludziom pracującym; mawiał on zwykle: „Kto pracującemu daje, ten sobie daje.“ Poszedł więc za Kaziem nauczyciel; a kiedy wszedł do izby, już matka rozdzieliła chleb pomiędzy czworo zgłodniałych dziatek, a Kazio w kącie klęczał i modlił się dziękując Panu Bogu za ten chleb powszedni. Kiedy nauczyciel usiadł na ławie, zapytał się matki, gdzie jest ojciec Kazia. Kazio skończył modlitwę, i tak się odezwał:

— Ja go tu zaraz zawołam, jeżeli pan profesor każe.

— Dobrze, poproś go tu.

Kiedy matka tych dzieci dowiedziała się że to ten pan jest professor Kazia, ten sam, który przysłał ten duży bochenek chleba, wtenczas ze łzami dziękowała ona razem z dziatwą swoją, jak to na tym ostatnim obrazku widzicie.

Kiedy ojciec Kazia przyszedł, profesor tak mówił do niego:

— Mój przyjacielu! winszuję ci takiego syna dobrego, którego w szkole wszyscy nazywali pobożnym; ponieważ dowiedziałem się, że los was prześladuje, jak wielu poczciwych

ludzi, a wy zapewnie potrzebujecie pracy, przeto zamiast dobrze życzyć komu inszemu, wolę wam na parę lat los zapewnić, a może i do śmierci, gdyż potrzebuję dozorcy przy kamienicy, którą zacząłem budować, a które to miejsce miesięcznie przynosić wam będzie 150 złp. i pomieszkanie z opałem wolne. Dla tego to czynię dla was z takiem zaufaniem, że wychowujecie dziatki takie, jakim jest Kazio.

Cóż to była za radość raptem z nędzy przyjść do dostatków. A to Kazio pobożny wyrwał z ostatniej biedy rodziców swoich.



Bądźcież i wy pobożne dziatki, tak jak ów Kazio, to was Pan Bóg kochać będzie!

X.

W Bogu ufaj — wyroki Boże są niedocieczone.

„W Bogu ufaj!“ Tak sobie w każdej złej chwili powtarzała Zosia bardzo dobra dziewczynka; była to sierotka, której rodzice nie wie kto byli; gdzie się podzieli nikt nie wiedział, bo Zosię znaleziono w krzakach powitą w cienkie chusty, w pięknej koszulce, a na szyi miała medalijonik złoty z literą A. Z. Zosia była bardzo pobożna. Pani Rzeczycka, która ją wychowała, a której

syn młodszy Kazio znalazł ją w krzakach, zaszczepiła w niej zasady najszlachetniejsze, i Zofia coraz stawała się cnotliwszą, a oraz i ładniejszą.

Nadeszły ciężkie czasy — wybuchła wojna. Pan Kazimierz już mający lat 24, oddalał się z domu, bo zaciągnął się do pierwszego pułku ułanów; pożegnał matkę, pożegnał i Zosię, która miała już lat szesnaście, i poszedł się bić za kraj, w kampanii 1812 r. Wiadomo, że Napoleon I. cesarz Francuzów, prowadził tę wojnę przeciw Aleksandrowi cesarzowi rosyjskiemu. Wiadomo jak mrozy pod Moskwą i Mozajskiem zniszczyły armiją francuzką; wia-

domo jak Polacy zasłaniali swojem męztwem cofające się wojsko francuzkie aż pod Lipsk, gdzie wódz naczelny Książe Józef Poniatowski cztery razy raniony, zginął w nurtach rzeki Elster pod Lipskiem, broniąc uciekających Francuzów; jak potem Polacy wróciwszy do Polski, otrzymali nowego króla w osobie Aleksandra I. — to wszystko wiadome jest z historyi. Ale tego co się działo w domu pani Rzeczyckiej, tego nikt nie wie, aż potem się to wydało. Oto Kozacy spalili wieś całą, a wszystko co żyło pouciekało w lasy. Zosia w lesie musiała na drzewie noc całą przesiedzieć, bo

w lesie szukali uciekających Kozacy, a kogo spotkali, zaraz zabijali. Modliła się też Zosia gorąco, ale zawsze powtarzała: „W Bogu ufaj!— Boskie wyroki są niedocieczone.“— Biedna ta Zosia, już dorosła, śliczna panna, zawsze się tem smuciła, że ani ona, ani nikt z jej znajomych i licznych przyjaciół, nie mógł się nigdy dowiedzieć, kto ona była, kto byli jej rodzice, — a przytem pan Kazimierz kapitan Ułanów nic już od dziesięciu miesięcy nie dawał znać o sobie, a bitwy szły jedna po drugiej; a tembardziej żałowała i smuciła się, że przed odejściem do pułku pan Kazimierz tyle uprosił był

matkę swoją panią Rzeczycką, że ona nie sprzeciwiając się szczęściu swojego syna, a oprócz tego kochając Zosię dla cnót jej przedziwnych, dla skromności, pobożności, pracowitości i przywiązania do swej dobrodziejki, chętnie zgodziła się na połączenie pana Kazimierza z Zosią, i dzień też odjazdu Kazimierza na liniją bojową, stał się dniem zaręczyn pana Kazimierza z Zosią; a pani Rzeczycka pobłogosławiła temu związkowi. Kiedy już trzeba było wsiadać na koń, Zosia odprowadziła Kazimierza, i zdjąwszy z szyi swój najdroższy skarb, swój medalik z Matką Najświętszą i z literą

A. Z., ten mu oddała, mówiąc: „To jest co mnie jest najdroższem, bo to pewnie pamiątka po matce mojej; miej go zawsze na twej piersi walecznej, i uderzając na nieprzyjaciela, zawsze towarzyszom broni daj za hasło: *W Bogu ufaj!* a zobaczysz, że kule cię omijać będą.“ Tak też było rzeczywiście. Kazimierz został pod Smoleńskiem sierżantem, pod Moskwą oficerem podporucznikiem, pod Lipskiem na placu boju dostał krzyż wojskowy za męztwo, i został porucznikiem, bo też zawsze pamiętał i dawał towarzyszom broni to hasło: *W Bogu ufaj!* Ale kiedy Napoleon cesarz cofał się z reszt-

kami wojska do Francyi, walcząc jak lew o każdą piędź ziemi, przyszło do bitwy pod Montereau, tam to dragoni moskiewscy tak obskoczyli Napoleona, że już go wzięli prawie w niewolę, ale pierwszy pułk Ułanów uderzył na nich, rozbił, wykłuł a Napoleona ocalił. W tym to pułku kiedy szef szwadronu poległ, dowodził na jego miejscu kapitan Kazimierz; ale cóż! on w zapale bitwy zapomniał dać hasła: *W Bogu ufaj!*— i patrzcież co się stało: kula nieprzyjacielska trafia w piersi Kazimierza — on spada z konia — Ułany myśląc że zginął, z wściekłością rzucają się na wroga i rozbijają go

w pień. Bo trzeba wiedzieć że kapitan Kazimierz ukochany i uwielbiany był od żołnierzy pierwszego szwadronu Ułanów. Ale kiedy chirurg go opatrzył i przyłożył plaster na ranę, pokazało się że on żyć będzie, bo kula przeszła na wylot nadłamawszy jedno żebro. Toż to poczciwe Ułany cieszyły się, że ich dzielny kapitan żyć będzie. — Kiedy Kazimierz leczył się w lazarecie, przyszła dla niego od jenerała nominacyja na szefa szwadronu i krzyż legii honorowej.

Ucieszony Kazimierz zaraz to opisał swojej matce i Zosi, ale cóż, kiedy ten list nie doszedł, jak to

podczas wojny. Cóż się dzieje? Napoleon został detronizowany, to jest z cesarza został niewolnikiem odesłanym na wyspę Elbę.

Polacy wrócili do kraju pod rząd nowego króla Aleksandra I. Ciało Księcia Józefa Poniatowskiego zostało przewiezione do Krakowa i złożone w królewskim grobie obok ciała Tadeusza Kościuszki. A Kazimierz? zapytacie. Co się stało z walecznym szefem szwadronu pierwszego Ułanów?

Posłuchajcież, to wam powiem:

Biedny Kazimierz wracał do kraju tak jak i drudzy; przybył w Poznańskie do wsi Urzędowa; tam z po-

wodu trudów i przykrości doznanych w drodze, rana mu się odnowiła; było to w karczmie; poczciwe wieśniaki dali znać do dworu. Pan Zarzycki dziedzic sam przyjechał, wziął rannego oficera do swego powozu; przywołał lekarza i czuwał nad panem Kazimierzem wraz z małżonką swoją Anną, tak jakby to własny ich był syn.

Lekarz biegły w chirurgii oświadczył, że to co oni uważali za złe, jest dobrem, bo właśnie potrzeba było, ażeby się rana otworzyła, a krew zepsuta wyciekła. Tu więc pod troskliwą opieką, przychodził Kazimierz do zupełnego zdrowia.

*

Jednego razu, kiedy on pokrzepiał się snem błogim, pani Zarzycka, która nad nim czuwała, spostrzegła na piersiach jego medalijonik Zosi na czarnej tasiemce. Kiedy się bliżej wpatrzyła i poznała litery A. Z., krzyknęła z podziwienia, i jakąś przejęta trwogą zawołała:

— Boże! co to jest? to jest medalijonik mojej Zosi! mojej córki!

Pan Kazimierz budzi się — otwiera oczy — chwyta za medalijonik i całuje go.

— Panie! powiedz przez miłość Boga, od kogo masz tę tobie, jak widzę, drogą pamiątkę?

— Od kogo? Od mojej ukocha-

nej, najdroższej Zosi! od mojej narzeczonej, a przyszłej małżonki, jeżeli Bóg dozwolił że ona jeszcze żyje; bo Zosia jest i musi być moją.

— Jakto Zosia? któż ona jest? jak się z nią poznałeś i gdzie?

— Oto było tak: Szedłem z moim ojcem świętej pamięci — Boże świeć nad duszą jego! o! to był dobry ojciec i pan poddanych swoich — ja się oddaliłem od ojca; słyszę w krzakach kwilenie dziecięcia; było to pod owemi historycznemi Puławami, między Parchatką a Zulinkami; słucham — szukam — aż znajduję dzieciuszkę, moją ukochaną Zosię, w pieluszkach z koronkami, które

ona chowa dotąd, i z tym medalijonikiem, co go do grobu na piersi nosić będę. Miałem wtenczas lat ośm; Zosia miała może swojego anielskiego życia roczek; rodzice moi, obywatele Lubelskiego, wzięli to dziecko za swoje i Bóg dał że ją wychowali tak, że to jest anioł dobroci, rozumu, cnoty i pobożności; potem ja poszedłem się bić za kraj, a matka moja pobłogosławiła nam, i przed odjazdem odprawiliśmy zaręczyny. O! gdybym był niezapomniał jej słów pod Montereau! ale cóż! bitwa, ogień, rzeź, zapał do boju! zapomniałem...

— Cóż zapomniałeś?

— Zapomniałem na słowa mojej Zosi, kiedy mi ten medalijonik, swój skarb najdroższy oddała — pamiątkę, jak mówiła, po matce swojej, której nie zna i znać może nie będzie: „*W Bogu ufaj!* daj to hasło towarzyszom twoim przed każdą bitwą, a kule cię omijać będą.“ Przebyłem bitwy: pod Smoleńskiem, pod Mozajskiem, pod Moskwą, nad Berezyną, pod Bautzen, pod Lipskiem, aż pod Montereau, kiedy trzeba było uwolnić cesarza, zapomniałem o Zosi, o daniu tego hasła: *W Bogu ufaj!* — i oto dostałem kulą w piersi, i tu u was, szlachetni rodacy, pokutuję za to; widzę że mnie Bóg ukarał,

żem nie poszedł za radą anioła, mojej Zosi kochanej.

Pani Zarzycka rozpłakała się i tak mówiła:

— Synu mój kochany, bo już odtąd synem czyli zięciem moim będziesz, nie narzekaj, ale błogosław Pana naszego, i tę kulę, która przez szlachetną pierś twoją przeszła, a przez nieodgadnione wyroki Pana naszego, ciebie do nas zaprowadziła i nam rodzicom tę niewypowiedzianą radość sprawiła, że po tylu łzach, po tej niewypowiedzianej tęsknocie, my rodzice znajdujemy dziecko nasze ukochane, a jeszcze tak starannie wychowane, że jest aniołem, jak

sam powiedziałeś. — Otóż tak było: Ja z dzieckiem i piastunką uciekaliśmy przed Kozakami niedaleko Puław, wtem dają znać że Kozacy są blizko; wysiadamy z powozu — ja powierzam dziecko piastunce, nakazując żeby się w krzakach schroniła i nie dawała żadnego głosu, aż Kozacy odjadą. Ja zaś z mężem uszłam dalej w las; na drugi dzień już ani piastunki, ani dziecka nie znaleźliśmy. Kozacy oddalili się ku Puławom, a odtąd wszelkie poszukiwania i dowiadywania się o Zosię córkę naszą, były nadaremne. O! Boże! jak dobry jesteś! o! kochany Kazimierzu! jaką radość wniosłeś w dom nasz

dotąd osierocony! Zięciu kochany! ja wam błogosławię i mój mąż wam pobłogosławi. Nie weźmiesz sierotkę ubogą, bo jej się należy miasteczko i trzy wioski dziedziczne, ale to jest nic naprzeciw tego, co twoja szanowna matka, którą tak pragnę uściskać uczyniła; wychowała Zosię na anioła dobroci, jak sam to powiedziałeś; o! Boże! jakże jesteś dobrotliwym, jak są nieodgadnione wyroki Twoje święte!

A cóż dopiero jak przyszedł pan Zarzycki — wszyscy się rozpłakali, uwielbiali Pana dobroci, Pana miłości i sprawiedliwości!

Wszyscy więc: matka, ojciec i

Kazimierz szef szwadronu, posłali listy do pani Rzeczyckiej, opisując wszystko jak było, jak się stało.

O! któż opisze radość Zosi i Pani Rzeczyckiej!

Kiedy zaś Kazimierz już całkiem wyzdrowiał, wszyscy hurmem udali się w Lubelskie do pani Rzeczyckiej do Zosi. Toż to była radość. Matka witała syna, zaszczyconego krzyżami i raną w piersi za kraj swój, rodzice tyle lat stroskani odszukali ukochane dziecię swoje piękne, niewinne, nadobne, jakby Anioła—i stało się wesele Kazimierza z Zosią Znajdkiem jego, i byli szczęśliwi; a Kazimierz na pamiątkę tego dnia szczęśliwego,

w którym kula przeszyła pierś jego waleczną, zbudował ze swego majątku i Zosi, dom przytułku i zdrowia dla rannych i ubogich.

Tak się skończyła ta historyjka, a wy dziatki same powiedzcie, czy nie słusznie mówiła Zosia: „W Bogu ufaj — wyroki Boże są niedocieczone!“ bo jakżeż my moglibyśmy dociec wyroków Bożych, kiedy my choćby najmędrsi, jesteśmy tylko prochem, tylko pyłkiem przed tym Panem naszym, który stworzył jednem słowem swojem nas, i wszystkie te światy, które widzimy w postaci niezliczonych gwiazd krążące nad nami.

XI.

Dziecko sumienne.

Oleś był bardzo sumienny, posłuszny, dobry, grzeczny i pobożny; nie uchybił pacierza ani rano, ani na Anioł Pański, ani w wieczór; był to chłopczyk dobry w całem znaczeniu.

Ojciec jego był poczciwy i dobry Chrześcijanin — on to w Olesiu zaszczepił te dobre zasady; ale biedak wkrótce umarł, i pozostawił żonę z synkiem Olesiem i Zuzią jego siostrą.

Bardzo biedne i ubogie było ich życie. Obok chaty gdzie oni mieszkali, stał stary dąb, który należał do sąsiada.

Przyszła zima. O! zima dla biednych to jest straszna! Kiedy bogacz wylega się w puchach, albo ogrzewa się przy ciepłym piecu, to biedak drży od zimna i zębami dzwoni. Tak było w chacie matki Olesia. Ona biedna, w łóżku chorobą złożona cierpiała od zimna, a Oleś nad nią płakał.

Starsza siostra Zuzia, wzięła go na bok i tak mówiła:

— Oto weź siekierkę i poobcinaj

gałęzie z dębu tego, a zapalimy i będzie mamie ciepło.

— Moja Zuziu! co chcesz abym uczynił? Czyż nie wiesz że to drzewo jest własnością sąsiada? Czyż chcesz żebym cudzą własność sobie przywłaszczał? A nie wiesz tego Bożego przykazania: „Nie kradnij“? Toż jabym miał złamać przykazanie Boże?..

— No! mówiła Zuzia, a cóż będzie z mamą, kiedy jej jest zimno?

— Wiesz, odrzekł poczciwy Oleś, ty się połóż na prawo, a ja na lewo przy mamie, to jej będzie ciepło. Jutro z rana wstanę, pójdę żebrać u dobrych ludzi, ale kradzieży nie

popełnię, bo to przeciw przykazaniu Bożemu jest.

Ogrzewali więc dziatki matkę biedną jak mogli, i ona sobie zasnęła nie wiedząc co oni robili. Rano, kiedy już ptaszęta śpiewem swoim głosiły chwałę Pana naszego, Oleś wstał, zmówił pacierz, ubrał się i poszedł żebrać dla matki swojej, ażeby nie popełnił kradzieży.

Kiedy wyszedł z domu, idzie wóz obładowany z węglami — koło się łamie — węgle sypią się na ziemię. Właściciel węgli przybiega i łaje woźnicę, że tak nieostrożnie jedzie. Oleś wtenczas ośmiela się po raz pierwszy żebrać:

— Panie! tak mówi, przebacz, ale jeżeli możesz udziel mi co z tych węgli! Moja matka chora, umiera od zimna; moja siostra radziła mi, żebym poobcinał gałęzie na drzewie sąsiada, ażeby ogrzać chorą matkę naszą, ale ja tego nie uczyniłem, bo Pan Bóg kraść zakazał, ale ty panie, Bóg ci to odda, ulituj się i daj kilka węgli, ażeby ogrzać chorą matkę naszą; dla siebie nigdybym nie żebrał, ale dla matki mojej chorej!

Ten pan był to człowiek miłosierny i poczciwy, podobała mu się poczciwość Olesia.

— Janie! zawołał na woźnicę, te

wszystkie węgle zniesiesz do matki tego dziecięcia. A ty, rzecze do Olesia, powiedz matce, żeby się o nic nie troszczyła, ja jej dziś przyślę posiłek i doktora. Potem ja was odwiedzę, bo lubię widzieć poczciwych ludzi.

Oleś uradowany przyszedł do matki i jej wszystko opowiedział. Matka ucieszyła się więcej poczciwością Olesia, aniżeli tym dostatkiem węgli, który na długi czas jej byt zapewniał; i sama ta radość przyczyniła się, że w kilka dni przy cieple już przyszła do zdrowia.

Jednego dnia kiedy matka ucałowała Olesia i jemu błogosławiła,

wchodzi ów pan właściciel węgli i tak mówi:

— Moja pani, czy umiesz szyć, prać, czy potrafisz zarządzać gospodarstwem domowem?

— O! panie, ja to wszystko umiem, a teraz już mi Pan Bóg przywrócił zdrowie.

— To dobrze, mówił ten pan, będziesz miała u mnie utrzymanie pewne choćby i do śmierci; kiedyś ty w twojej nędzy wychowała takiego syna jak twój poczciwy Oleś, to ja ci daję 150 złp. miesięcznie i opał, a co z mojej będzie woli to potem; a tego chłopca, któregom pokochał, biorę odtąd sam na wy-

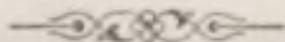
chowanie; ja mu chcę być ojcem.

— O! panie! niech Bóg najwyższy tobie nagrodzi stokrotnie! Tak mówiła biedna kobieta.

No i cóż dalej? Oto biedna matka wychowała w chwale Bożej córkę i wydała ją potem bardzo dobrze za mąż, i byli szczęśliwi. A z Olesiem co się stało? Oleś był pielęgnowany, kochany, pieszczony od pana swojego, owego właściciela węgli. On skończył nauki, został adwokatem, ożenił się z dobrą i ładną córką tego pana właściciela owych węgli: wziął matkę do siebie, dorobił się majątku, i dziś jeszcze swobodny i szczęśliwy z żoną swoją

Elżusią, są pociechą starości ojca Elżusi i matki, którą Oleś po Bogu najwięcej kocha, a potem ojca Elżusi.

A cóż dziatki, czy nie piękna to rzecz zachowywać przykazania Boże, tak jak Oleś?



Rejestr.



